CZY MOŻNA ZAUFAĆ ZDRAJCY? CZY MOŻNA GO POKOCHAĆ...?

PŁONĄCA KORONA

RAE CARSON

1

Pędzę tak szybko korytarzami mojego pałacu, że towarzyszący mi gwardziści z trudem utrzymują szyk. Służba – w wykrochmalonych spódnicach i wyglansowanych butach – tworzy szpaler wzdłuż ścian. Każdy, gdy się zbliżam, kłania się nisko – przypomina to efekt domina. Z daleka dobiega głuchy pomruk, przenikający przez kamienne mury, nieustający jak szum wodospadu, stłumiony jak dalekie grzmoty. To tłum na zewnątrz skanduje moje imię.

Za zakrętem korytarza zderzam się w biegu ze lśniącym pancerzem. Silne ręce chwytają mnie za ramiona, chroniąc przed upadkiem. Moja monstrualna korona nie ma tyle szczęścia. Spada z brzękiem na podłogę, wyszarpując mi pasemka włosów.

On odrywa ręce od moich ramion i pociera czerwone miejsce na szyi.

– Twoja korona to potężna broń – mówi. To Hector, dowódca Gwardii Królewskiej.

– Przepraszam. – Spoglądam na niego, mrużąc oczy. Gwardziści zgolili wąsy dla uczczenia naszego ostatniego zwycięstwa i jeszcze się nie przyzwyczaiłam do

odmienionego, młodziej wyglądającego Hectora.

Ximena, moja siwa niania, schyla się, podnosi ciężką od złota, ozdobioną jednym ogromnym szlifowanym rubinem koronę i ją przeciera. Musiałam się rozstać z delikatnym diademem królewskiej małżonki. Tradycja nakazuje, bym nosiła koronę pełnoprawnego monarchy.

– Oczekiwałem cię godzinę temu – mówi Hector, podając mi ramię. Przemierzamy korytarze cały czas w morderczym tempie.

– Zatrzymał mnie generał Luz-Manuel. Kolejny raz chciał zmienić trasę parady.

Hector zatrzymuje się w miejscu, co sprawia, że niemal się potykam.

– Znowu?

– Nie podoba mu się zwężenie drogi, gdzie Aleja Węży przecina trakt kupców. Twierdzi, że w tłumie ktoś obcy mógłby z łatwością ugodzić mnie włócznią.

Ximena wykorzystuje moment, żeby z powrotem włożyć mi na głowę koronę. Krzywię się, gdy przepycha szpilki do włosów przez aksamitne szlufki korony, by ją umocować.

Hector kręci głową.

– Przecież w tamtym miejscu jest niska zabudowa. Będziesz więc bezpieczniejsza, ponieważ większym zagrożeniem są strzały oddane z wysokiego dachu.

– Dokładnie tak samo argumentowałam. Był… niezadowolony. – Szarpię Hectora za ramię, bo musimy się śpieszyć.

– Powinien to sam wiedzieć.

– Też mu o tym wspomniałam.

– Jestem pewien, że był wdzięczny – szydzi Hector.

– Nie mam pojęcia, co chciał osiągnąć, upierając się przy swoim. O cokolwiek mu chodziło, nie miałam zamiaru mu ustąpić.

Hector obrzuca wzrokiem ludzi stojących pod ścianami

i ścisza głos.

– Osobiście odpowiadam za twoje bezpieczeństwo, Eliso, więc proszę po raz ostatni, byś rozważyła sytuację. Cały świat wie, że nosisz Boski Kamień.

Wzdycham, nie mogąc zaprzeczyć prawdzie jego słów. Tak, jestem teraz celem fanatyków religijnych i szpiegów armii Inviernych, a nawet czarnorynkowych handlarzy kamieniami szlachetnymi. Jednak parada z okazji rocznicy moich urodzin to jedyny dzień w roku, kiedy moi poddani – od praczek i stajennych po ogorzałych od wiatru marynarzy – mogą rzucić okiem na swoją monarchinię. To święto narodowe, na które czekają od miesięcy. Nie mogę pozbawić ich tego przywileju.

Ponadto nie chcę, by rządził mną strach. Przede mną życie w roli królowej. Takie wybrałam. Więcej, wywalczyłam je sobie. Nie mogę i nie zamierzam wyrzec się tego pod wpływem lęku.

– Nie jestem kryjącą się w pustynnym piasku myszką jerboa, Hectorze.

– Czasami Elisa podejmuje ryzyko w dobrze pojętym własnym interesie – wtrąca się w naszą rozmowę Ximena. – Musi pokazywać się publicznie. W pierwszych miesiącach na tronie powinna umocnić swoją władzę. My zapewnimy jej bezpieczeństwo, ty i ja, Hectorze. I będzie nad nią czuwał Bóg. Ona ma do spełnienia misję…

Puszczam jej słowa mimo uszu. Wiele się zdarzyło w ciągu ostatniego roku, a mimo to nie czuję się ani trochę bliższa spotkania ze swoim przeznaczeniem, niż byłam siedemnaście lat temu, kiedy Bóg umiejscowił w moim pępku Boski Kamień. Ten wciąż we mnie pulsuje, rozgrzewa go moja modlitwa, przypominając, że nie dość było moich dokonań i że Bóg ma nadal wobec mnie jakieś plany.

Mam serdecznie dość przypominania o tym.

– Rozumiem to, pani – odpowiada Ximenie Hector. –

Jednakowoż byłoby bezpieczniej…

– Hectorze! – krzyczę. – Już zdecydowałam.

Usztywnia się.

– Tak jest, Wasza Wysokość.

Wstyd ściska mi gardło. Dlaczego warknęłam na Hectora? Przecież zirytowała mnie Ximena.

Po chwili docieramy do powozowni, dziś z powodu wielkiego upału wyjątkowo mocno śmierdzącej końskim łajnem i stęchłą słomą. Czeka tu na mnie otwarty powóz – cacko ze lśniącego mahoniu zdobione ornamentami z brązu i udekorowane proporcami w kolorze królewskiego błękitu. Na drzwiach pyszni się mój królewski herb – korona z rubinem spoczywająca na kompozycji z pustynnych róż.

Fernando, mój najlepszy łucznik, stoi na tylnej platformie z łukiem przewieszonym przez ramię. Kłania mi się głęboko, z szacunkiem. Cztery rumaki, machając ogonami, tańczą w wysadzanej klejnotami uprzęży. Patrzę na nie nieufnie, podczas gdy Hector pomaga mi wsiąść do powozu. Potem podaje rękę Ximenie i mimo niedawnej różnicy zdań wymieniają pełne wzajemnego zrozumienia spojrzenia. To zgrana para – mój gwardzista i moja opiekunka. Czasami mam wrażenie, że w sprawie mojego bezpieczeństwa spiskują za moimi plecami.

Hector wydaje rozkaz, stangret pociąga za lejce i ruszamy. Gwardia Królewska w lśniących ceremonialnych zbrojach otacza powóz. Maszerują miarowym krokiem, gdy wyłaniamy się z cienia powozowni na pustynne słońce.

Jak tylko skręcamy w Aleję Kolumnową, powietrze przeszywają głośne wiwaty.

Na trasie przejazdu stoją tysiące ludzi, w ścisku, ramię przy ramieniu, machając rękami, flagami, kawałkami tkanin. Dzieci siedzą na ramionach ojców, rzucają w powietrze siemię lniane i płatki róż. Długi

transparent trzymany przez sześć osób głosi: WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO, STO LAT ŻYCZYMY JEJ WYSOKOŚCI KRÓLOWEJ LUCERO-ELISIE!

– Uuu! – wyrywa mi się z ust okrzyk.

Ximena szczypie mnie w rękę.

– Jesteś przecież bohaterem wojennym, zapomniałaś?

Lecz także cudzoziemką, która panuje tu dzięki przypadkowemu małżeństwu i wygranej wojnie. Wiem jednak, że znalazłam miejsce w sercach moich poddanych i ogarnia mnie fala ciepła, rozpiera duma.

Tymczasem twarz Ximeny poważnieje i niania nachyla się do mojego ucha.

– Zapamiętaj tę chwilę i przechowaj w swoim sercu, słońce moje, bowiem żaden władca nie cieszy się popularnością wiecznie.

Kiwam głową z nawykowego szacunku dla Ximeny, lecz mimo woli marszczę brwi, ponieważ zbyt szybko odebrała mi radość z daru, jaki ofiarowali mi ludzie.

Stroma Aleja Kolumnowa zabudowana jest po obu stronach starymi dwupiętrowymi domami. Błyszczą w słońcu piaskowcowe gzymsy, z płaskich pokrytych ogródkami dachów zwieszają się jedwabne flagi. W drodze w dół centralnego wzgórza wciąż towarzyszą nam nieustające wiwaty, jednak domy na naszej trasie są coraz uboższe, a gdy wreszcie docieramy do najniżej położonego pierścienia zabudowy, widzę wśród powojennych gruzów zaledwie kilka ocalałych nędznych budynków.

Nie chcę patrzeć na obraz zniszczeń i kieruję wzrok na potężne mury miejskie. Wysokie na ponad pięć metrów chronią nas przed piaszczystymi wirami. Wyciągam szyję i w prześwitach krenelażu dostrzegam żołnierzy z gotowymi do strzału łukami.

Główna brama jest jak co dzień otwarta dla handlarzy, żelazna krata nad wybrukowanym traktem podniesiona,

w prześwicie widać pofalowane wydmy mojej ukochanej pustyni, wygładzone przez wiatr i z pozoru przyjazne w żółtym blasku południowego słońca. Z trudem odrywam wzrok od złocistego piasku, gdy skręcamy w Aleję Węży.

Nie udaje mi się już dłużej unikać ściskającego serce widoku. Ta część Brisadulce, przylegająca do murów miejskich, jest niczym szrama na obliczu świata – to poczerniałe i cuchnące spalenizną zgliszcza. Gdy armia Inviernych sforsowała bramę, animagowie, wysyłając ze swoich amuletów niebieskie wiązki ognia, podpalili wszystko, co znajdowało się w polu widzenia.

Mój wzrok przykuwa belka stropowa leżąca na stosie gruzów – na jednym końcu zachowana w idealnym stanie, z dostrzeganymi słojami drewna, dalej coraz bardziej osmalona i poskręcana kończy się dopalającym się kikutem. Nad nim wije się smuga dymu.

Ten najdalszy pierścień miejskiej zabudowy stanowi straszny widok – żarzące się pogorzelisko nie pozwala zapomnieć o cenie, jaką trzeba było zapłacić za zwycięstwo. Upływają miesiące, a my wciąż nie jesteśmy w stanie zdusić ognia. Ojciec Nicandro, nasz najwyższy kapłan, twierdzi, że ponieważ wznieciły go czarnoksięskie moce, jedynie magia może sprawić, że wygaśnie. Albo magia, albo czas.

Być może ogień będzie się tlił w moim mieście jeszcze przez sto lat.

Mimo to uśmiecham się i macham do tłumu. Z taką zaciętością, jakby od tego zależało moje życie, jakbym widziała przed nami świetlaną przyszłość, a złowróżbne języki ognia nie były warte nawet chwili irytacji.

Tłum odwzajemnia mój entuzjazm. Krzyczą i wiwatują, i to działa jak magia, dobra magia, bo budzi się we mnie nadzieja i zaczynam uśmiechać się do nich szczerze.

Ulica zwęża się i tłum napiera na nas. Hector oplótł palce na rękojeści miecza i przysunął się do powozu.

Mnie jednak bliskość ludzi nie przeszkadza, cieszą mnie ich roześmiane twarze i niespożyta energia.

Jednak gdy zbliżamy się do monumentalnego amfiteatru z rzędem kamiennych kolumn, wyczuwam subtelną zmianę, ostudzenie nastroju – jakiś niepokój. Gwardziści podejrzliwym wzrokiem omiatają zgromadzonych ludzi.

– Coś jest nie tak – szepcze Ximena.

Patrzę na nią zaniepokojona. Nawykowo macam Boski Kamień, by dał mi sygnał: zawsze się rozgrzewa w bliskości przyjaciół i robi lodowaty, gdy coś mi zagraża. Czy tylko mi się wydaje, czy jest zimniejszy niż zwykle?

Teatr ma kształt ogromnej podkowy, której końce biegną prostopadle do alei. Gdy się zbliżamy, mój wzrok przyciąga coś poruszającego się w górze. Wysoko ponad tłumem stoi człowiek w powiewającej na wietrze białej szacie.

Boski Kamień zamienia się w kulkę lodu, a ostry chłód przenika mi całe ciało, gdy rozpoznaję tego człowieka po jasnożółtych, prawie białych, długich do pasa włosach. Słońce zagrało na czymś osadzonym na głowicy jego drewnianego berła.

Jestem tak zszokowana, że nie mogę wydobyć głosu, a Hector zbyt późno zauważa białą postać i w rezultacie mój powóz znajduje się w zasięgu rażenia. Wokół mnie zapada upiorna cisza, jakby tłum wstrzymał oddech, bo każdy zna z opisu animagów, czarnoksiężników w armii Inviernych.

Głowica berła animaga zaczyna połyskiwać błękitem. To blask Boskiego Kamienia.

Jak w koszmarze sennym walczę, by ze ściśniętego strachem gardła wydobyć głos.

– Fernando! – wołam wreszcie. – Strzelaj do niego! Strzelaj tak, by zabić!

Strzała wycelowana w animaga ze świstem przecina

kryształowo czyste niebo.

Czarnoksiężnik macha w jej kierunku berłem. Z głowicy wytryska niebieski strumień ognia, trafia w strzałę i ta rozpryskuje się w snop iskier.

Ludzie krzyczą. Hector wydaje komendy gwardzistom: połowa ma zwierać szyki wokół mnie, a pozostali biec, by oskrzydlić animaga. Tłum niestety wpada w panikę, przepycha się i moi gwardziści są jak w pułapce w kłębowisku ciał.

– Łucznicy! – ryczy Hector. – Strzelać!

Z głośnym świstem wylatują w powietrze setki strzał.

Na próżno, bo animag z wyciągniętym przed siebie berłem wiruje jak w piruecie. Otaczające go powietrze poddaje się jego woli i dostrzegam zarys zamykającej go ochronnej bariery – podobnej do szkła czy też rozedrganego pustynnego mirażu. Widzę to zaledwie przez moment, bo Ximena podrywa się z ławki i zasłania mnie swoim ciałem.

– Do królowej! – Słyszę głos Hectora. – Wycofujemy się! – Jednak powóz się nie rusza, uwięziony w kłębiącej się ciżbie.

– Królowo Lucero-Eliso – dociera do moich uszu syczący głos, donośny dzięki specyficznej akustyce amfiteatru – ty jedna nosisz żywy Boski Kamień i twoje miejsce jest wśród nas, wśród nas, wśród nas…

Idzie schodami w dół. Wiem. Idzie po mnie. Wypali sobie ścieżkę w tłumie moich poddanych i…

– Sądziłaś, że dałaś nam odpór, ale jest nas tylu, ile piasku na pustyni. Następnym razem przyjdziemy po ciebie jak duchy w koszmarze sennym. I poznasz bramy wroga!

Kątem oka dostrzegam błysk miecza. To Hector wznosi go w górę. Ściska mi się żołądek, bo jestem pewna, że mój obrońca gotów jest wyrąbywać nim drogę przez tłum, jeśli to będzie konieczne, by mnie stąd wydostać.

– Ximeno! – Brakuje mi oddechu. – Wyskakuj. Hector… on zrobi wszystko. Nie możemy mu pozwolić…

Ximena chwyta w lot, o co mi chodzi.

– Kryj się na podłodze – nakazuje, rzuca się do drzwi powozu i wytacza się z niego na ulicę.

Serce wali mi jak szalone, ostrożnie wysuwam głowę na zewnątrz. Animag powoli schodzi po wielkich schodach, patrząc na mnie głodnym wzrokiem, jakbym była złapaną w pułapkę smakowitą myszą. Mój Boski Kamień, zimny jak lód, nie przestaje mnie ostrzegać.

Na dobrą sprawę czarnoksiężnik już mógłby mnie zabić, gdyby chciał. Nie potrafimy obronić się przed niebieskim ogniem. Więc dlaczego tego nie robi? Obserwując go czujnie, staję w drzwiach powozu.

– Eliso, nie! – krzyczy Hector. Odtrąca Ximenę, która szarpie go za ramię, i biegnie do mnie. Nagle zastyga w pół kroku z wykrzywioną od wysiłku twarzą, sparaliżowany czarnoksięską sztuczką animaga.

Hector to jednak najsilniejszy mężczyzna, jakiego znam. Walcz, Hectorze, wzywam go bezgłośnie.

Trzęsąc się z przenikającego do kości zimna, zmuszam się do wyjścia z powozu. To na mnie poluje animag, więc być może, gdy go sprowokuję, dam gwardzistom czas na osaczenie go i Hectorowi szansę na przezwyciężenie zaklęcia.

Słońce oświetla sylwetkę animaga i blask bije od wyzierającego spod szaty pancerza, jednak patrzę na niego, nie mrużąc oczu.

– Twoich braci spaliłam na popiół. To samo zrobię z tobą – mówię twardo, choć czuję ciężar tego kłamstwa. Bowiem tylko jeden raz zrobiłam użytek z mocy Kamienia i nie do końca wiem, jak mi się to udało.

Animag wyszczerza w odpowiedzi zęby.

– Poddaj się. Jeśli to zrobisz, oszczędzimy twoich poddanych.

Nie zauważa, że podkrada się do niego jeden z łuczników. Błyskawicznie zakłada strzałę i celuje.

Eliso, nakazuję sobie, bądź silna, nie drgnij nawet, musisz przytrzymać wzrok animaga.

Strzała tnie powietrze. Słysząc świst, animag odwraca się, ale jest już za późno i grot przebija mu żebra.

Chwiejąc się, czarnoksiężnik z powrotem obraca się ku mnie, oczy dziko mu błyskają, z bólu lub ekstazy, jedna ręka zwisa bezwładnie. Szkarłatna plama rozlewa się na jego szacie.

– Patrz pilnie, królowo – mówi jak w transie. – Oto co czeka każdego z twoich poddanych, jeżeli dobrowolnie nie złożysz z siebie ofiary.

W tym momencie podbiega Hector i chwyciwszy mnie za ramiona, ciągnie do tyłu, gwardziści zaś dopadają animaga. Lecz jego Boski Kamień już świeci jak małe słońce, a więc nie zdążyli obezwładnić go w porę. Za moment skieruje na nas ogień, a z tłumu pozostaną stopione i zwęglone szczątki. Nie mogę znieść myśli, że mój przyjaciel spłonie, więc gorączkowo próbuję złapać go za pas miecza i odciągnąć. Nieoczekiwanie animag kieruje strumień ognia na siebie.

– Taka jest wola Boga! – krzyczy. Unosi ramiona, porusza ustami jak w modlitwie, podczas gdy płomienie liżą już jego skórę, topią włosy i zamieniają go w żywą pochodnię, którą widzi całe miasto.

Tłum się rozprasza, a w powietrzu rozchodzi się swąd płonącego ciała.

Konie stają dęba i zrywają się do pędu, tratując każdego, kto znalazł się na drodze, turkocze ciągnięty przez nie powóz.

– Do królowej! – ryczy nad moją głową Hector.

Fala podmuchu przetacza się przez amfiteatr, podsycając płomienie i wzbijając w górę nadpalone włosy oraz kawałki szaty. Nadwęglone ciało animaga stacza się

ze schodów, ciągnąc za sobą smugę dymu i iskier.

Przyciskam czoło do pancerza Hectora i zamykam oczy. Zamęt wokół stopniowo się ucisza. Mój Boski Kamień przestaje mnie ziębić, oddycham z ulgą, wciągam głęboko w płuca gorące pustynne powietrze.

– Musimy odprowadzić cię do pałacu – mówi Hector.

– Tak, oczywiście. – Odsuwam się od niego, wysoko podnoszę głowę. – Idziemy. – Nadrabiam miną z nadzieją, że udając silną, naprawdę taka się poczuję.

Gwardziści z pobrzękiwaniem zbroi ustawiają się wokół mnie w szyku i wyciągają miecze. Gdy ruszamy w męczącą drogę w górę wzgórza, do moich stóp spływa kawałek białej szaty, jeszcze żarzącej się na brzegach.

2

W drodze powrotnej modlę się, dziękując Bogu za darowane życie moje i gwardzistów, a także prosząc Go, by czuwał nad nami jeszcze jakiś czas. Gdy zbliżamy się do pałacu, Hector każe nam się zatrzymać.

Krata w pałacowej bramie jest opuszczona i zaryglowana. Stoją przed nią setki ludzi. Niektórzy krzyczą i tupią, tłuką czym popadnie w żelazne pręty. Inni stoją cicho, przyszli z kocami, tobołkami, małymi dziećmi. Z pobliskich ulic i alejek napływają kolejni.

– Oni myślą, że miasto zostało zaatakowane – mówię drżącym głosem. – Szukają schronienia wewnątrz pałacowych murów.

– Być może tak jest – odzywa się cicho Ximena. – Być może znowu zaczyna się wojna.

– Wycofujemy się czym prędzej – ogłasza Hector. – Ale bez pośpiechu. – Słyszę to, czego nie dopowiedział: gdyby ta zdesperowana gromada odkryła, że tu jestem, okrążyliby mnie i zablokowali.

Wciskamy się więc w wąski zaułek między dwoma kamienicami. Hector ściąga z siebie jasnoczerwony

płaszcz dowódcy Gwardii Królewskiej, odwraca na lewą stronę w mniej krzykliwym kolorze.

– Narzuć to na siebie – prosi. – Twoja suknia nazbyt rzuca się w oczy.

Okrycie pachnie Hectorem – naoliwioną stalą, wysłużoną skórą, korzennym winem. Zapiąwszy sprzączki przy szyi, zwracam się do pozostałych:

– Wszyscy odwróćcie płaszcze na lewą stronę. Ximeno, schowaj moją koronę. – Unoszę ją lekko nad głowę, a niania wyplątuje moje włosy z licznych szpilek.

Przez chwilę trzyma koronę w ręku, zastanawiając się, co ma z nią zrobić. Po namyśle wślizguje się za mnie, by nie widzieli jej gwardziści, a kiedy pokazuje się znowu, przód jej spódnicy sterczy jak na rozdętym brzuchu.

– W każdym razie trudno podejrzewać, że tam jest korona – mówi Ximena z przepraszającym uśmiechem.

– I co teraz? – pytam. – Jeżeli zaryglowano kratę w bramie, na pewno stajnie są również zamknięte.

– A kuchnie? – podpowiada jeden z gwardzistów.

– Albo sala recepcyjna – odzywa się drugi.

Hector kręci głową.

– Zgodnie z regulaminem garnizon pałacowy zamyka wszystkie wejścia, gdy coś się dzieje.

Wiem, że każdy członek Gwardii Królewskiej jest wpuszczany do wewnątrz bez żadnych pytań. A jednak z jakiegoś powodu Hector nie wysyła nikogo do pałacu po większą eskortę i powóz bez okien dla mnie.

– Uważasz, że to nie przypadek, że zamknięto pałac, zanim bezpiecznie wróciłam? Uważasz, że to nie tłum jest dla mnie największym zagrożeniem? – zwracam się do Hectora

Patrzy na mnie zasępiony.

– Nie mogę wystawić cię na żadne ryzyko.

– Tunel ewakuacyjny! – wykrzykuję. – Prowadzi z apartamentu króla do wyjścia na trakt kupców.

Alejandro mówił mi, że tylko kilka osób o tym wie. – Przełykam ślinę na wspomnienie długich dni spędzonych przy łożu umierającego męża. Wsłuchiwałam się pilnie w każde jego słowo, zapisywałam wszystkie w sercu, żeby móc przekazać je któregoś dnia królewiczowi Rosario.

Hector pociera podbródek.

– Jest w opłakanym stanie. Nie byłem tam od czasu, kiedy jako chłopcy zapuszczaliśmy się tam z Alejandrem.

– Idziemy – rozkazuję z nadzieją, że jakoś to będzie.

Wychodzimy z cienia zaułku na pełne słońce. Gwardziści odruchowo ustawiają się w idealnym szyku.

– Nie, nie. – Daję im znak ręką. – Nie w szyku. Nie powinniście wyglądać jak wojsko.

Natychmiast zawstydzeni łamią szyk. Hector oplata mnie ramieniem, jakbyśmy byli na przechadzce.

– Ależ upał. Zrobiło się piekielnie gorąco – mówi.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu, chociaż wyczuwam jego napięte mięśnie i widzę, że omiata bacznym wzrokiem ulicę, a wolną rękę trzyma na rękojeści miecza.

– Wolałabym rozmawiać o szalenie modnych ostatnio etolach.

Teraz on się śmieje.

– Oj, nie wierzę.

Bez żadnych incydentów docieramy do traktu kupców. Jest tu osobliwie cicho, stragany stoją puste, na brukowanej ulicy nie słychać turkotu wozów. A przecież mamy święto narodowe. Powinni tłoczyć się tu kupujący, akrobaci i żebracy, patrząc łakomie na stosy rożków kokosowych, lepkich kulek daktylowych na patykach i pasztecików mięsnych.

Miasto musiała więc obiec wieść o ataku. Przekazywano sobie z ust do ust: „Wrócili Invierni! Grozili królowej!”.

W tej pustce widać nas jak na dłoni. Spoglądam na

otaczające nas domy i ciarki chodzą mi po plecach – boję się, że w oknach zobaczę jakieś głowy obserwujące nas ukradkiem. Ale nie widzę nikogo.

– Alejandro powiedział mi, że do tunelu wchodzi się z domu kowala – mówię cicho do Hectora.

– To jest tuż-tuż, na rogu… o tam. – Wskazuje otwartą przybudówkę przy piętrowym domu. Palenisko i miechy są zimne, cichutko pobrzękują zawieszone na linkach łańcuchy.

Hector zaciska mocniej rękę na moim ramieniu i zagląda do środka.

– Hej, kowalu! – woła.

Skrzypią otwierane w głębi drzwi. Wychodzi łysy mężczyzna w osmalonym sadzą czarnym skórzanym fartuchu, o ramionach z mięśniami jak postronki, przypominającymi pnie drzew. Szeroko otwiera oczy.

– Zacny Rialto! – wykrzykuje z dającą się wyczuć wymuszoną radością. – Pański kociołek jest gotowy. Cacko. Walały mi się tu kawałki mosiężnej blachy, więc policzę taniej. Zapraszam!

Patrzę pytająco na Hectora, który ledwie dostrzegalnie kiwa głową. Wchodzimy za kowalem przez drzwi.

Każdy kawałek ścian wewnątrz wykorzystany jest do zaprezentowania wyrobów mistrza – mieczy, krat, pułapek, łyżek, lichtarzy, kutych z blachy rękawic. W pomieszczeniu unosi się gryzący zapach, jakby miedzi pokrytej śniedzią. W glinianym palenisku trzaska wątły ogień. Chyba tylko kowal jest w stanie wytrzymać jego żar w tak upalny dzień. Gdy już jesteśmy wewnątrz, zamyka drzwi i opuszcza rygiel.

– Tędy, Wasza Wysokość. – Z jego twarzy wyparował sztuczny uśmiech. – Szybko. – Podnosi róg grubego chodnika, odsłaniając klapę. Stękając z wysiłku, ciągnie za mosiężny uchwyt. Otwarta klapa odsłania pierwsze stopnie starych drewnianych schodów, reszta ginie w

ciemności.

– Będzie nam potrzebne światło – mówię.

Chwyta ze stołu świecę i mosiężny lichtarz, sięga do paleniska i zapala knot.

– Trzeba uważać – ostrzega, podając mi lichtarz. – Tunel jest wzmocniony drewnianymi belkami. Są bardzo stare i suche.

– Ja przodem – mówi Hector. Schody trzeszczą pod jego ciężarem.

Już mam za nim ruszyć, ale coś zaświtało mi w głowie. Odwracam się do niani.

– Ximeno, wracaj z resztą gwardzistów do pałacu, podejdźcie do głównej bramy. Wpuszczą was. Jeżeli ktoś nas widział, jak tu przyszliśmy, musi też zobaczyć, że opuszczamy tę okolicę.

Ximena marszczy brwi.

– Moje miejsce jest przy tobie.

– Będę bezpieczna z Hectorem. – Nie dając jej szans na protest, zwracam się do kowala: – Jak się nazywasz?

– Mandrano. Byłem członkiem Gwardii Królewskiej Jego Wysokości króla Nicolao – mówi z dumą w głosie. – Teraz zajmuję się kowalstwem.

Ściskam jego ramię – jest twarde jak głaz.

– Dziękuję ci, Mandrano. Wyświadczasz dzisiaj swojej królowej wielką przysługę.

Kłania się w pas. Nie czekam, aż się wyprostuje, nie zawracam sobie głowy sprawdzaniem, czy Ximena i gwardziści mnie posłuchali. Wchodzę na schody, trzymając nisko świecę, by widzieć stopnie.

Chwytam wyłaniającą się z ciemności pomocną dłoń Hectora. Gdy zdejmuję stopę z ostatniego stopnia i stawiam ją na ziemi, z hukiem opada klapa. Otacza nas absolutna czerń, w której pływa krąg światła świecy.

Trzymam się blisko Hectora, żeby światło służyło nam obojgu. Rzuca fantazyjne cienie na jego twarz – zamazuje

bliznę na policzku, łagodzi ostrość spojrzenia i kontur twarzy. Uświadamiam sobie, jak bardzo jest młody.

– Hectorze, kto jeszcze poza mną ma prawo wydać rozkaz zamknięcia…

– Hrabia Eduardo, generał Luz-Manuel i marszałek dworu. – Wymienia ich z taką szybkością, jakby tę listę już powtarzał sobie w głowie.

– Myślisz, że ktoś celowo zamknął przed nami pałac?

Ximena pośpieszyłaby z niedorzecznym uspokajającym wyjaśnieniem, że na pewno zaszło jakieś nieporozumienie, lecz Hector nie zwykł niczego owijać w bawełnę.

– Nawet po bezpiecznym powrocie musimy zachować czujność.

Rozumiem, kiwam głową i podaję mu świecę. Idzie z przodu, a ja trzymam się tuż za nim, żeby w razie czego chwycić za jego pas mieczowy. Tunel jest tak wąski, że ramiona ocierają mi się o belki podtrzymujące strop. Stopami wzbijamy pył, który drażni nos i gardło, z trudem powstrzymuję się od kichania.

Nagle coś świecącego na niebiesko przemyka mi po stopie. Na mój pisk Hector błyskawicznie się odwraca.

– To skorpion – uspokaja. – Świecą, gdy są przestraszone. Są raczej nieszkodliwe.

Raczej nieszkodliwe nie znaczy, że w ogóle nie zrobią ci krzywdy. Już otwieram usta, żeby zgłosić wątpliwość, postanawiam jednak udawać odważną.

– Zaskoczył mnie – mówię spokojnie. – Idźmy dalej.

Nim się odwrócił, zauważyłam cień rozbawienia na jego twarzy.

– Na szczęście nie był to żółty skorpion pustynny – dodaje, odsuwając na bok gęstą pajęczynę.

– Jaki?

– Są dużo większe, a ich jad jest bardzo trujący. Żyją w pustynnym buszu wokół Basajuan. Dziwne, że nie

natknęłaś się na nie wtedy, kiedy przewodziłaś buntowi w tamtej okolicy.

– Żałuję, że nie wiedziałam o nich. Uczyniłabym z nich straszliwą broń.

– Jak to? – Hector zatrzymuje się tak nagle, że omal na niego nie wpadam.

– Jeden z chłopców w naszej wiosce hodował żmije. Miał z mojego polecenia podkraść się do obozowiska Inviernych i wpuścić je tam. Nie czekał w pobliżu, by liczyć zgony, ale słyszał straszne wrzaski. Skorpiony zrobiłyby lepszą robotę.

Hector milczy długą chwilę, zaczynam się niepokoić, że czymś go uraziłam.

– Hectorze?

– Wciąż mnie zadziwiasz – mówi. I wznawia marsz w ciemność.

Docieramy do przekrzywionych schodów. Dolny stopień odpadł, pewnie przegnił.

– Schody wiją się wewnątrz murów pałacu – szepcze Hector. – Musimy być cicho.

Kiwam głową, zaczynamy piąć się w górę. Wzmacniane drewnem ziemne ściany ustępują miejsca kamiennym, ale stare schody uginają się i trzeszczą pod naszym ciężarem jak te w tunelu. Docierają do moich uszu oznaki życia – kroki, stłumione głosy, woda spływająca rurami do kanału ściekowego.

Schody kończą się ślepo. Hector podnosi lichtarz, światło świecy pada na gładką płaszczyznę – więc nie jest z kamienia. Gdy przeciąga po niej palcem, zostawia jaśniejsze smugi na pokrytej kurzem powierzchni. W pewnym momencie coś klika. Drzwi rozsuwają się bezszmerowo na boki, ukazując ciut jaśniejsze pomieszczenie.

– Garderoba – szepcze Hector. Wchodzi, ja za nim. – Zostań tutaj – prosi. – Sprawdzę komnatę.